№ 4. 26. Stycznia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**“

O dwojakim rodzaju komedii.

Niechcę tu mówić o téj wielkiej i wiecznej komedyi, którą ludzie od wieków odgrywają na tym świecie; a która jest oraz wielką tragedią — o komedyji dziejów — ale o komedyji w poezyi i na scenie.

Najulubieńszym rodzajem komedji po dziś dzień jest ten, który obiera swój przedmiot z dziejów. I zaiste komedyia, która nie ma na celu wystawiać tych śmieszności ludzkiego życia, które są zawsze jedne i te same, czyli raczej przedstawiać życia ludzkiego z koniecznej strony — komedya która nie jest taką, wybiera najstosowniej swój przedmiót z dziejów.

Ów rodzaj komedyi bowiem, który wyśmiewa ludzkie życie przezto, iż pokazuje jak często bierzemy rzeczy małe na wielki kamień, a wielkie na małą wagę, patrzy na świat nasz z góry i obraca dalowid reflexji duchowej odwrotnym końcem, tak iż wszystkie rzeczy, nawet największe, okazują się drobne i małe, a jednak są ostro i wyraźnie zarysowane.

Przezto więc, iż wszystko okazuje się drobne, poznajemy lepiej stosunek rzeczy do siebie, i przekonujemy się, jak rzeczy, które nam się wydają wielkie i ważne, tracą na rozmiarze i stają się nawet ulotne, a wielkie ważenie ich śmieszne, gdy się wzniesiemy nad poziom życia powszedniego. — Taką jest komika *Aristofanesa, Szekspira, Moliera* i we wielu sztukach *Fredry*. Jest to komika wzniosła, „la haute comedie.“ Ta komika nie wszystkich bawi, bo nie każdy rozumie jej komiczność; sentymentalnych ludzi taka komedyja nawet razi, obraża i zasmuca. Inna jest komedyja, która niebawi *homorystycznėm* uchwyceniem życia ludzkiego, ale *dowcipném* wymyślaniem jakich niezwykłych stosunków, tak zwanych sytuacyi i dowcipnej intrygi.

Między tą komedyją a tamtą jest ta sama różnica, cô między *dowcipem* a *humorem*.

„*Dowcip jest: jeśli jeden co powie, a drugi się śmieję*“ powiedział pewien profesor i niemal że zgadł; — zapewne że podług tego i głupota w jedną kategorję z dowcipem pada: głupota jest czasem mimowolnie dowcipną; czego oczywistym dowodem jest właśnie ów nasz profesor.

Humor przeciwnie śmieje się często, tak że innych do płaczu pobudza, i jest on często śmiechem rozdartego serca. Trefniś króla *Leara* śmieje się w najtragiczniejszych położeniach swego Pana, a niemożna mu zarzucić ani lekkomyślności, ani nieczułości. Albo humor przedstawia rzeczy które zwykle nas smucą, tak że do śmiechu pobudza n. p. w nieszczęściach zdradzanego męża (*Amfitrio*); rzecz która również tragedyi przedmiotem być może (*Othello*) i t. p. Dowcip jest zawsze objawem szczerej i dziewiczej niemal wesołości gdy humor śmieje się często śmiechem rozdartego serca.

Komedja zatem humorystyczna jest ową wyższą komedją pierwszego rzędu. Drugiego rzędu zaś komedja dowcipna. Ta dowcipna komedja, jest najpowszedniejszą i najulubieńszą: krytyka zaś nierównie mniej od niej wywaga, niż od komedji pierwszego rzędu. Niewymagamy od takiej komedyi aby nam życie ludzkie malowła z pewnej strony, która u wszystkich ludzi, wszędzie i zawsze jest co do istoty swojej niezmienną: ale przeciwnie, aby nam przedstawiła zręcznie obraz z powszedniego

życia, ujęty w pewnej chwili, z pewnego miejsca; jakieś jedno położenie, jeden krok pewnej osoby, który jest śmieszny dla tego że odbija od zwykłego przyjętego trybu działania, i albo zdradza słabość, śmieszność w jakim wielkim mężu, albo powszednich ludzi słabości i mierności dowcipnie karykuje. —

Ten rodzaj komedyi, jeźli jest karykaturą, sprawia wrażenie dobre na ludzi najmniej wykształconych, którzy całe użycie w tém znajdują, aby się uśmiać dobrze. Jeżeli karykatura jest zręcznie przewiedziona, nie aż do obrzydliwości, albo jeżeli chłoszcze obyczaje i zwyczaje towarzystwa lub pewnej klasy, wtedy zadowolnia i wyżej ukształconych, którzy w końcu szukają tak zwanego *sensu moralnego*.

Jeźli zaś dowcipna komedjia niema być karykaturą życia towarzyskiego lub pojedyńczych osób, wtedy najszczęśliwiej obiera swój przedmiot z dziejów. Tak np. *Szklanka wody* ma jedynie przez to powab, że podkłada intrydze bardzo prostej, albo raczej nader nieznacznemu przypadkowi, tło dziejowe. Toż samo powiedzieć możemy o komedjach ułożonych z anekdot o Napoleonie, albo o komedyi Niemcewicza: „*Król Jan i giermkowie jego.*“ Te komedje wszystkie możeby nawet były bardzo nudne a przynajmniej bardzo powszednie, gdyby w nich nie były wprowadzone osoby historyczne na scenę.

Z tego powodu też w repertoarzu teatru powinny komedje historyczne, i karykatury dramatyczne także mieć miejsce, ale bardzo jest rzeczą ważną dla wpływu teatru na życie, aby takowe były przeplatane czasem komedją wyższego rzędu oprócz dramatów. Jeżeli bowiem publiczność jest przymuszoną widzieć bezustannie na scenie tak zwane „*Possen*,“ wtedy czucie jej dla prawdziwego dowcipu, a tem bardziej dla humoru tępieje, i wyradza się zamiast *rozwagi*, która zawsze jest owocem satyry, nierozwaga, lekkomyślna płaskość.

My sobie możemy pochlebiać, że nasza publiczność ma tak słuszne w tej mierze uczucie, ze jej się ustawiczna karykatura na scenie i płaski dowcip niepodoba; wymaga ona zawsze także *uczuciowego* użycia i moralnej nauki. Przez to teatr nasz gdyby nawet niechciał, musi repertoarz swój tak urządzać, ażeby owe przeplatanie wnim było. Cieszymy się témbardziej tą koniecznością na naszej scenie i tym gustem naszej publiczności, bośmy niedawno jeszcze zrobili smutne doświadczenie, że płaski dowcip w literaturze najwięcej u nas popłacał.

Wspomnienia Afryki i Hiszpanii.

(Ustęp z życia.)

(Ciąg dalszy.)

Miasto całe położone jest kokieteryjnie na łagodnym pagórku wznoszącym się od strony południowej — w pośród zieloności ogrodów, drzew owocowych, kwiatow.

Stara część miasta zamieszkana przez Arabów — Maurów — Żydów — odznacza się swemi ulicami ciasnemi; domy brudne, nizkie, meczety tylko dodają jej oryginalności.

Główna część miasta jest całkiem nową; zabudowana zupełnie na sposób europejski — jest prawie eleganckiém przedmieściem Paryża.

Dzisiaj, gdzie już tak trudno odkryć starodawne podanie — starożytną narodowość miasta — zda ci się, iż się znajdujesz w odległej części Europy; oczy spotykają tylko francuzkie tużurki, fraki, mantyle dam, i damy z okiem pełnym lubieżności, z postawą pełną kokieteryi, z nóżką figlarnie stawianą po gorejących chodnikach, a frazesy i przekleństwa paryzkie jak grad sypią się po ulicach.

Plac krolewski — pomnik księcia Orleanu — wieże kościołów — szkoła medycyny — teatr — kawiarnie — spacery — wspaniały port ożywiony ruchem wszystkich narodów europejskich, dają miastu pozór stolicy państwa europejskiego.

Wszystko znów co krajowe, narodowe — ma charakter poważny — że tak powiem surowy. — Krajowcy, których ujrzysz przechodzących, idą pomału — poważnie i niczém się nie zajmują co się obok nich dzieję. Noszą ubrania obszerne — szerokie, rozmaitych kolorów, najwiącej zaś koloru białego jak śnieg.

Czasami przejedzie się kawalerzysta — koń i jezdzieć mają tę samą postawę zaniedbania i pogardy

tego wszystkiego, co ich otacza. Podwójny kaptur burnusa czarnego i białego — któremi się Arab osłania, czynią go bardziej podobnym do spokojnego pielgrzyma lub mnicha, niż do owego zagorzałego wojownika.— Twarz jego zimna, czoło spokojne, usta nieme, wzrok nieruchomy; — a jednak, gdy po zamurami miasta usłyszy głos trąbki wojennej i strzały, twarz — jakby magicznym sposobem nabiera zapału i ognia, oko łyśnie płomieniem, Arab zrzuca swój kaptur na ramiona, w żylaste dłonie chwyta swą długą strzelbę i stawiąc ją prostopadle na swym prawém kolanie, staje jakby przetworzony chciwy walki i boju.

Nasi panicze harcują na koniach przez próżność— przejeżdżając obok dam, kokietując koniem i sobą; dama się uśmiechnie, więc w żywszem zapale daje ostrogę koniowi — koń się wspina,— sadzi susy— trawersuje, w końcu—unosi; i nazywają to zręcznością i grzecznością. — Arab nie zna tej grzeczności, nie popisuje się tylko pomiędzy mężczyznami,— nie dla próżności — lecz dla chwały!— Arab nie pojmuje miłości, lecz bez kobiety obejść się nie może. — U nas byłoby to rzeczą najśmieszniejszą, aby w roku 80^{m} życia— pojąć małżonkę młodą; w Afryce zaś nic zwyklejszego jak takie małżeństwa.— Codziennie można widzieć młode dziewczęta przybywające do namiotu starca, gdzie je oczekują powinności małżonki.—Mieszkańcy Afryki, którzy się śmieją z naszej cywilizacyi, nigdy się nie troszczą o swój wiek i nie zapisują ani chwili urodzenia ani śmierci.— Stają się dojrzałymi jak tylko wsiadają na koń — nigdy nie są starymi, gdyż jeśli tracą przez wiek na siłach, zyskują na powadze i na potędze moralnej. — W ogóle mają wyobraźnię żywą, a ciało powolne, leniwe; pragnęliby przypiąć myślom swoim skrzydła, zapominają jednak że mają nogi.— Spędzają czas leżąc na miękkich dywanach — wyciągnieni na wygodnych kobiercach, prawie przykuci do poduszek.— Najgłówniejszą przyczyną ich ociężałości jest to gorejące klima, które nawet nie jednego pracowitego Europejczyka zdolne przywieść do stanu niedołężnego Araba, połykającego dym z fajki, pijącego opium — u którego ulatują godziny gdzieś do nieznanego nieba — gdzie giną nie zostawiwszy śladu jak te ogniwa białego dymu ulatujace pod powałę. —

Słowem Algier — gdzie się spodziewałem napotkać ten typ cechujący różnobarwną narodowość Mahometanów, jest miastem pełnym wdzięku i powabu. — Wytworność i elegancya domów, równość i czystość ulic, świeżość ogrodów, żywy i rozmaity ruch ludności każą mniemać, że jakaś czarodziejska laska tyle cudów naraz sprowadziła w tę część świata.

Z Algieru do Oranu i do Konstantyny (dzięki czynności francuzkich inżynierów), powozy toczą się bitym gościńcem, pełnym po drodze malowniczych widoków. Domy zajezdne są opatrzone we wszystko, co tylko kaprys podróżnego żądać może!—

Nad brzegiem morza pogodnego jak niebo afrykańskie — wzruszonego tylko lekkiem tworzeniem się fali — używałem wspaniałego widoku przyrody, bo nie masz nic wspanialszego nad widok niezmierzonéj przestrzeni wody — spokojnéj — przezroczystej — odbijającej na swej powierzchni purpurowy blask zachodzącego słońca. — Niezmierzona przestrzeń jasnego błękitu nieba, stalowej powierzchni morza — oswiecona jaskrawym światłem słońca zachodzącego, sprawiały na mym umyśle wrażenie wznoszące myśl ku niebu, ku stwórcy tej pięknej przyrody. — Goniłem myślą daleko — bo aż po za morze — błądziłem po ojczyznie — wszelka piękność widoku afrykańskich brzegów, i morza i słońca nie dała mi zapomnieć, że tam gdzieś w dali jest Polska — rodacy — rodzina — przyjaciele pozbawieni tych cudnych widoków — malujących tak szczytnie wielkość stwórcy. I ja też mą jednostajną tęsknotę przerywając obrazem wielkiej massy wody i pięknego nieba — myślałem jak też wielu osobom przemija życie bez sposobności ujrzenia najwspanialszej piękności natury; — i mimowolnie zadumany westchnąłem głęboko! w tém coś plusło po wodzie, i usłyszałem szelest po za sobą;— obejrzałem się i ujrzałem dwie niewiasty.— Jedna z nich mniejsza lecz zgrabna i piękna jak

madonna Rafaela; — oko jej czarne, pełne ognia, pełne życia — zdradzało duszę namiętną i ognistą, — oko prawdziwie afrykańskie! — Włosy hebanowe w puklach stroiły głowę; twarz proporcynalnie owalna — jednak znać było na niej ślady skwarnego klimatu i słońca. — Postać wysmukła, nóżka drobna, chód i ruchy żywe, widać znamionowały jeszcze żywsze uczucia; bo szybko biegała zbierając to muszle, to kamyki z piasku, z którego dopiero co woda ustąpiła — i potém figlarnie rzucała je w morze — jak gdyby pragnęła wywołać burzę, jaka może w tej chwili miotała jej duszą — jej sercem! Uderzony tym nowym dla mnie widokiem, całą uwagę zwróciłem na ten przedmiot świadczący daleko więcej o piękności przyrody.

Żywe oko niewiasty spotkało się z mojém; jednem spojrzeniem oceniłem całą wartość tej istoty i od téj chwili pokój mej duszy został zakłócony. —

Jej towarzyszka była nierównie starszą, i z roli, jaką odgrywała — poznałem w niej powiernicę — czy pokojową pierwszej. —

Stałem — z wzrokiem wlepionym w ten piękny żywy obraz, poruszany jakąś dziwną fantazyją. —

Często odbiegała od brzegu — i znów powracała; — to znów rzucała kamienie i muszle w spokojne fale — jakby je poruszyć chciała. —

Jednem silnem poruszeniem — wypusciła z rąk chustkę lekką batystową, która uniesiona zefirem — wionęła ku falom — fala jedna podała ją drugiej i tak byłaby odpłynęła.

Poskoczyłem co prędzej — stąpiłem jedną nogą w wodę, i tą lekką ofiarą dostałem w posiadanie zdobycz, która mi otworzyła drogę do poznania tej morskiej syreny.

— *Ah! que vous êtes gentil!* zawołała dość czystą francuzczyzną moja syrena, gdy jéj zmoczoną chusteczkę do rąk oddałem — nie bez ognistego spojrzenia jakie z obu stron zmieniliśmy.

— Miło mi jest, jeźli tą bagatelą przysłużyć się mogłem tak pięknéj damie. —

— Pan pewno Francuz jesteś? zapytała. —

— Dla czegóż to pytanie śliczna syreno?

— Bo zwykle ich odpowiedziom słodki komplement towarzyszy — odrzekła nie bez kokieteryi. —

— Czy prócz Francuza każdy inny nie umiałby oddać słuszności tak powabnym oczom?

— Być może, lecz panowie Francuzi najzręczniej tego dokonywują. —

— Piękna dama pewno się zdziwi gdy się dowie, że nie jestem Francuzem lecz...

— Lecz kim — jeśli wolno wiedzieć?

— Jeźli te piękne usteczka same odgadnąć potrafią! —

— Bardzo łatwo — pan jesteś Anglik —

— Myli się pani —

— To Włoch, Hiszpan lub Portugalczyk —

— Bynajmniej.

— To Niemiec.

— I to nie jeszcze —

— Może Grek — bo nie sądzę żeby Turek lub Tatar —

— O — Boże uchowaj!

— Aha — już wiem — teraz się nieomylę — pan jesteś Amerykanin! —

— Coraz dalej pani się odsuwasz —

— To już trudno mi odgadnąć; pan przecież nie jesteś Polakiem? —

— Czemuż nie? — właśnie nim jestem, na usługi mej ślicznej bogini. —

— Czyż być może? — zawołała zdziwiona — ja tak wiele słyszałam o Polakach jeszcze w dzieciństwie mojém; — nigdy jednak nie miałam sposobności poznania którego bliżej. — I zaczęła się wpatrywać, i szukać wspomnienia młodocianej wyobraźni. —

— Wszak kilku moich rodaków zamieszkują Algier? —

— Nie zdarzyło mi się poznać żadnego z nich; dla tego miło mi jest, że los dozwolił mi tej przyjemności.

— Jeźli więc nawzajem zapytać mi się wolno?

— I owszem — jestem z Andaluzyi — była odpowiedź z pewnym rodzajem dumy i powagi. — Tu poznałem, jak Hiszpanki wiele wartości przywiązują do swej ojczyzny, i jak są dumne z

prowincyi, która im dała życie i pierwsze wychowanie. —

Nie pytałem o nic więcej; — zwłaszcza że słońce całkiem zanurzyło się w morzu, a światło księżyca zaczęło przyswiecać. — Mimowolnie skierowaliśmy kroki nasze ku miastu, a po chwili rozmowa nasza znowu się zawiązała jakby na drugi ustęp. —

— Pan dawno zamieszkuje Algier? — zapytała pierwsza. —

— Od tygodnia dopiero — a już traf szczęśliwy dozwolił mi poznać najpiękniejszą istotę całej Afryki i Andaluzyi — odpowiedziałem.

— Pan zawsze ten sam. —

— Ja tylko prawdę mówię; — dostrzegałem jednak że nie bez wrażenia i dumy właściwej Hiszpankom przyjmowała moje grzeczności.

— A jak długi pobyt pana w tym mieście? —

— Najdalej chciałem pozostać dwa miesiące,— lecz piękne oczy pani przykują mnie na tak długo, jak długo mi będzie wolno spoglądać na nią — odrzekłem bez zająknienia, lecz nie z przekonania.

— A gdzie właściwy pobyt pana? —

— W Paryżu. —

— Ah! jakże zazdroszczę, że w tak pięknem mieście pan mieszkasz! —

— Niestety — tylko do czasu. —

— A potém?

— Potém powracam do Polski, do kochanej ojczyzny. —

— Do Polski! — co tego to nie zazdroszczę; — bo tam podobno takie zimno, że się jest wiecznie zakatarzonym, powiedziała z niedowierzaniem. —

Zacząłem jej tedy opisywać kraj nasz, starałem się sprostować w wielu względach mylne jej wyobrażenie o Polsce; w niektórych wypadkach o ile mogłem porównywałem moją ojczyznę do Hiszpanii, zwłaszcza we względzie religijności, i nie mało zadziwiła ją wiadomość, że jesteśmy po większej części wyznania rzymsko-katolickiego.

Wpośród najprzyjemniejszej rozmowy przybyliśmy na plac królewski, i zatrzymaliśmy się przed eleganckim domem piątrowym.

Chciałem ją pożegnać.—

— Sądzę że nie nadużyję grzeczności pańskiej jeżli poproszę, byś mnie odprowadził do mego pomieszkania. —

— Jesteśmy już u progu jeżli się nie mylę,—

— Lecz nie za progiem — odpowiedziała z właściwą sobie grzecznością. —

Niewymownie uradowany przyjąłem te zaprosiny — bo już poprzednio układałem plan w myśli, jakby dostąpić tego, co mi tak nadspodzianie ofiarowano. — Było to w tej chwili mém życzeniem arcy-ważném zabrać bliższą znajomość z osobą, którą przewidywałem, że kochać będę musiał; a trzeba wiedzieć, że klima afrykańskie nadzwyczaj się przyczynia do rozbudzenia choćby najchłodniejszych usposobień.

Luisa — nazwisko pokojowej — pobiegła na górę — a wkrótce i my weszliśmy do salonu. — Znalazłem tyle smaku i elegancyi w umeblowaniu — że jeszcze wyższe powziąłem wyobrażnie o mojej towarzyszce.

— Jesteś pan u pani Laurent, wdowy po kapitanie francuzkiej marynarki, rzekła do mnie — gdy już byliśmy w salonie. —

Na to powiedzenie obejrzałem się nieznacznie, czy nie ujrzę drugiej osoby; — gdyż nie sądziłem aby tą wdową być miała prawie ośmnasto-letnia dziewica; — lecz postrzegłszy, iż mówi o sobie, nawzajem się zarekomendowałem. —

Siedliśmy na sofie; — przyniesiono nam sorbet, i zwolna, nieznacznie znajomość nasza postępowała dalej a dalej. —

Opowiedziałem jej powód mego przybycia. — Pani Laurent nawzajem opowiadała mi wiele szczegółów o sobie, o nieboszczyku mężu, o rodzicach, o familii, o ojczyznie — co przedłużyło moją bytność u niej długo w noc. —

Donna Isabella Lopez de Medonza y Detalabera, urodzona w Kadyksie, odebrała wychowanie jakie tylko w Hiszpanii być może najstaranniejsze. — Do lat 14 zostawała pod czujném okiem swych rodziców, wzrastając w powaby, jakie tylko być mogły ozdobą pięknej Andaluzyanki; — była niewinną, z sercem i umysłem wolnym — brakowało jej tylko

uczuć miłości, niezbędnego żywiołu dla dam gorącej wyobraźni i gwałtownych namiętności — jakiemi są istoty tej południowej strefy.—

Pan Laurent, kapitan francuzkiego okrętu, zawinął do portu w Kadyksie r. 1841. i wszedł w stosunki z jej ojcem.

Don Alejo de Medonza y Detalabera, ojciec Isabelli był jednym z pierwszych negocyantów w Kadyksie,—miał rozgałęzione stosunki z Francją, Włochami i Afryką; płody krajowe wymieniał na zagraniczne — i niezmordowaną czynnością zaokrąglił swój majątek do 100.000 duros (jeden duros — około 8. złp.) —

Pana Laurent zachwyciła Donna Isabella— piękna od stóp do głów; — lecz że większą część życia spędził na morzu, był więc człowiekiem naturalnym, nieco jednak interesowanym. — Podobała mu się córka negocyanta, lecz więcej jeszcze jej majątek. Wsposób właściwy marynarzom, bez wielkich zachodów, bez długich starań o pozyskanie wzajemności swej przyszłej — oświadczył dnia jednego don Alejowi, że pragnie zostać jego zięciem. — Partya nie była do odrzucenia, propozycia została przyjętą, i dzień ślubu wyznaczonym.

Donna Isabella długo nie mogła przezwyciężyć niechęci; powodowana jedynie wolą rodziców — jak ofiara prawie — poszła do stóp ołtarza, i ustami drżącemi poprzysięgła wierność mężowi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domek rodzinny.

Gdzieś tam za wrzawą, za zgiełkiem ludzi
Za pijanemi wykrzyki,
Za tą gromadą, co serce studzi
Niesumiennemi wybryki, —
Pod grzbietem Tatrów, nad jarem głuchym,
Gdzie strumień pędzi spieniony, —
Ciągnie się wioska długim łańcuchem
Jakby wąż czarny, uśpiony.

Zboże się złote kołysze łanem,
Łąki zielenią się trawką,
Bieleją brzozy ponad burzanem
I nad grającą sadzawką.

Ponad gościńcem tam modrzewiowy
Stoi staruszek - kościółek;
Wednie nabożne gmach to ludowy,
A w dnie codzienne jaskółek.

Tam już inaczej mnie grają wody,
I niebo błyszczy już inne,
Bo tam zaległy mojej zagrody
Ściany domowe, rodzinne.
A przy dziedzińcu białego dworu
Brama z furteczką u prawej,
Dzwonek, co w modły drżał co wieczoru,
I dla przechodniów dwie ławy.

Wewnątrz dziedzińca stoi dąb stary —
Nito duch zeszłych stóleci, —
Co strzeże swojej ojczystej wiary
W sercach pobożnych swych dzieci.
Ganek oparty na słupach z drzewa
Ławy dwie długie zaległy,
I wierny pies tam leżąc poziewa
Reszta za bramę wybiegły.

Świeża zieloność przed całym dworem
Jakby makata — rozsłana,
Próg nie wysoki, i drzwi otworem,
I kropielnica miedziana.
Wewnątrz rodzina gwarzy wesoło
Lecz kiedy rzuci oczyma —
To zmilkną usta, zsępi się czoło,
Ach! bo mnie niéma i niéma!

A w mojej stajni przy pełnym żłobie
Przy założonej drabinie
Konik moj smutny za mną rży sobie,
I od tęsknoty aż ginie.
Bóc jak on w zębach nie miał wędzidła
Drugi rok mija już właśnie;
A nim ta cisza minie obrzydła
To może słońce zagaśnie.

A przy tym koniu w dzień i noc ciemną
Kozak mój duma na progu,
I swoje żale za mną, nademną
Spowiada wichrom i Bogu.
Lecz próżne twoje żale, kozacze!
I dumy twoje naprożne!
Serce nam obu krwawo zapłacze
Boć czasy płaczom usłużne.

nim ja do was zdrowo przypłynę
Świat chyba przyjdzie wywrócić;

I ty powrócisz w twą ukrainę,
Aby tam dumkę zanucić —
Lecz pierwiej może raz jeszcze razem
Chybko dosiędziem swych koni,
I pobrzękamy sobie żelazem
Że w całym świecie zadzwoni!

Z. K.

O pożytku wykształcenia klasycznego.

Nie raz już zdarzyło mi się słyszeć narzekania bardzo nawet poważanych ludzi na mozolną a niewdzięczną naukę języków starożytnych i literatury klasycznej. Musiałem nie raz słuchać wyrzekania podobne: „Poco to tém młodzieży czas zajmują i głowy zaprzątają? Nie lepiej-że-by było uczyć ją czegoś realnego, w życiu praktycznem potrzebnego i pożytecznego, jak kłaść im w głowy dawno minione już dzieje i co tam jakieś Ixyfanty i Cicerony gadali i pisali." Na uwagę, że arcydzieła starożytnych są i pozostaną zawsze jedynemi i niezrównanemi w swoim zawodzie — odpowiedź bardzo gotowa: że posiadamy już w językach nowoczesnych przekłady wszystkich tych zachwalonych koryfejów, i że dla tego raczej uczone języki żyjące uczyć się wypada, mając przez to sposobność poznania i starych i nowoczesnych dzieł nauki i sztuki. Młodzież też nasza w ogólności, w tym względzie aż nadto idzie za zdaniem starszych; bo dość rzadko kto u nas doprowadza do studyowania klasyków osobliwie greckich, chociaż wszyscy uczą się języka łacińskiego i greckiego.

Jak z jednej strony zdanie to jest słusznem, iż dla ludzi tak zwanych praktycznych, bezpośrednio sprawami codziennego życia ludzkiego się trudniących — znajomość języków dawnych nie jest potrzebą, lecz przeciwnie zawadą w specyalnem wydoskonaleniu i zbawką czasu; tak z drugiej strony mylném i opacznem jest rozciągnienie tego sądu i do tych, którzy stanowiskiem swojem lub zawodem obranym przeznaczeni są sprawować w społeczeństwie ludzkiém funkcye nie wprost wykonywające lecz reflexyjne, nie popychające lecz kierujące, nie bezpośrednio-fizyczne, lecz wyższe i umysłowe. Wyłączne poprzestawanie na wzorach przeszłości sprawiło wprawdzie zatamowanie i stagnacyę we wszystkich wydziałach oświaty ludzkiej; lecz nie wynika ztąd jednak, że dla tego odrzucić wypada wszelką świadomość o przeszłości cywilizacyi naszej. Bo jak z przesadnego klasyczyzmu wynikło owe zbytnie i uporczywa zachowawczość starych błędów, tak znowu równocześnie z całkowitém zaniedbaniem kształcenia klasycznego pojawiła się przeciwna ostateczność: przeczenie bodaj nie wszelkiej prawdzie. Że w całej literaturze nowoczesnej, jak i w świecie dzisiejszym przeważa ten żywioł przeczący — któżby tego nie uznał? Śród ciągłéj walki, śród ciągłych starć i zapasów — trudno wznieść się ponad żywioły w około walczące, trudno je przejrzéć i ocenić okiem bezstronném i czystém. Rolnik, kupiec, żołnierz, fabrykant — (choć żadnego nauka i głębsze pojmowanie rzeczy nie szpeci)— mogą obejść się, i zwykle obchodzą się bez tego wyższego stanowiska, które się tylko wyższém wykształceniem zyskuje; lecz człowiek myśli i słowa, artysta, sędzia, ksiądz lub krytyk - bez tej wyższości i równowagi umysłowéj jakże się z przeznaczeniem swém rozminęli? Do tego uspokojenia i zrównoważenia dojść można wprawdzie i innemi także drogami, w ogólności pracą i uprawą umysłową; lecz niczem łatwéj, jak gruntowném poznaniem świata starożytnego, jego poezyi, dziejów i dzieł sztuki, a to tak w treści jako i we formie. Od niego już jesteśmy w dostatecznem oddaleniu, byśmy wszystkie stosunki w prawdziwym rozmiarze, wszystkie przeciwieństwa w ogarniającém i pojednawczém rozumieniu pojmować mogli. A włożywszy się w ten sposób widzenia rzeczy na czasach przeszłych — tém łatwiéj zdołamy zastosować go i do naszych dzisiejszych stosunków, dzieł, czynów i stronnictw, tém łatwiéj wznieść się zdołamy na stanowisko ogólne i absolutne, i uniknąć tak stronniczości jak jednostronności.

TEATR.

Dnia 18 b. m. przedstawiono Felińskiego tragedyę — ulubioną od publiczności dla imienia Barbary Radziwiłłównej i miłej pamięci Zygmunta Augusta. Zalety i piękności tej sztuki przemawiają same do serca i umysłu czytelnika lub widza, niemniej też słabe jej strony wiadome są dość powszechnie. Toż były już i różne recenzye scenicznego jej wykonania.

Rzecz niezaprzeczona, że dla dobrego powodzenia téj sztuki potrzeba dobranej publiczności — i dobrych aktorów.

Co do publiczności, tedy mianowicie tą razą warunek był spełniony; przysłuchiwała się ona bowiem przedstawieniu z uczuciem więcej estetyczném jak rozmarzonem, i z umysłem trzeźwym zupełnie, nie unosząc się jakby na przekorę komuśtam przy ustępach drażliwych, i umiejąc należycie oceniać tak zwane loca communia. I tak też być właściwie powinno, gdyż chwilowe uniesienia przemijają najczęściéj bez śladu, a tylko wrażenia prawdziwie i bezwzględnie wzniosłe pozostają w sercu i w pamięci na całą przyszłość.

Inne wszakże zachodzi pytanie co do drugiego warunku. A najprzód: czyli sceniczne przyrządzenie było należyte? — Dawne w tej mierze żale i teraz też same, mimo to, że tak łacno mogą i powinny być usunięte. Przez całych pięć aktów niemal odbywa się działanie w sali tronowej. My zaledwie mogliśmy ją rozpoznać, i gdyby nie coś podo-

bnego do tronu, ledyby już bez napisu: „To sala tronowa“ ponoś się nie obyło. Kilka tylko dywanów, świetniejszy nieco baldakin — a skutek podobnego przyrządzenia byłby bezwątpienia wielki; sam widok bowiem tak osmolonych desek posadzki niszczy, jeżli już nie wszelką illuzyę, to przecież przyczynia się znacznie do tego. Tem bardziej jeszcze, kiedy charaktery mniej są oddane naturalnie, kiedy przysada lub brak ducha ożywiającego całość przedstawienia — w rażącym okażą się sposobie.

Publiczność nasza radaby widzieć tragedyę Felińskiego odegraną raz przecie tak, jak ją autor chciał mieć pojętą — mimo nawet tyle w niej dosady w wysłowieniu, mimo tej miejscami w dyalogu rozwlekłości francuzkiej. Podobne żądanie nie jest wcale zbyteczném. — Co było w przedstawieniu trafnie i z artystycznością oddane, tą razą samem milczeniem przyznamy. Niech nam jednak wolno będzie chociaż warunkowo tylko, wyłaczyć od tego role Bony, Zygmunta Augusta — i Boratyńskiego.

Rola Bony (panna Radzyńska) oddana była tą razą bezsprzecznie lepiej niż kiedykolwiek w latach ostatnich na tutejszej scenie. A jednak pozostaje dosyć jeszcze do życzenia. Bona oddana bez królewskiej zawsze i we wszystkiem powagi, chybionym jest zupełnie charakterem. Wszystko za tem przemawia: historyczność, stanowisko i osobistość jej, wymagania estetyki, i nareście pojęcie artystyczności. Nawet dobitność niekiedy wyrażenia się autora, jest tu tylko probierczym we względzie sztuki dramatycznej kamieniem. W cierpkich słowach Bony w obec Barbary nie mieści się właściwie nikczemne urąganie, ani pogarda dla Barbary, lecz uczucie przedewszystkiem własnej jako królowej wyższości, i stawanie w obronie godności królewskiej Zygmunta Augusta.

Jest to duma usprawiedliwiona niejako w swem własném mniemaniu. Już według założenia samego autora nie jest Bona pomimo całej swej chytrości charakterem koniecznie i z gruntu skażonym: wszakże oszczędza wprzód Barbary, nim przy końcu drugiego aktu w dwóch wierszach ostatnich wpada na pomysł zgroźliwy, i w lekarzu Monti widzi rozwiązanie całego węzła. Bez wewnętrznego drżenia, bez widocznej ze sobą walki, nie mogła Bona o tem pomyśleć, nie mogła z obojętnością na dalsze ztąd skutki pozostać. Te krótkie dwa wiersze są stanowcze: wszelki niewłaściwy przycisk w ich wygłoszeniu, wszelki ruch dobitny ręką, mija się z prawdą daleko. Czem większa gra i siła namiętności, tem większe stawia w oddaniu jej scenicznem trudności: tem większego też wymaga artystycznego zgłębienia, tem bardziej przytomne i umiarkowane powinny być ruchy ciała, i bardziej w wyrazie twarzy, w głosie i w dramatycznem nieskończonej rozmaitości cieniowaniu winna być oddana.

Grze pana Pfeiffera (Zygmunt August) nie da się w ogólności również nic tak stanowczego zarzucić. Rola ta w porównaniu Bony jest dla artysty daleko łatwiejszą i wdzięczniejszą. Nie przeto wszakże niepotrzebująca już większego zgłębienia. Pan P. dobrą chęcią swoją w tej mierze zapewne nie został nic dłużny, i owszem mógłby nawet zadowolnić, gdyby Zygmunt August był zwyczajnym, zakochanym młodzianem. A nadto i chwile serdecznego uniesienia nie są chwilami wysilenia, a zachodzenie się w głosie dla braku tchu, nie inne jak tylko przykre na słuchaczy musi uczynić wrażenie. Toż i zwracanie się i wskazywanie ręką przy każdém wspomnieniu o tronie na ostateczne dotykalne jego wyobrażenie, grzeszy przeciw właściwemu o tronie pojęciu, i ledwie że nie wpada w bałwochwalstwo.

Co się zaś tyczy roli Boratyńskiego, tedy sam autor najprzód już uczynił ją wielce niewdzięczną, dla niestósownej do położenia rzeczy rozwlekłości dykcyi. Właśnie też wypada tu artyście podnieść grą swoją działanie ile możności, a mianowicie w mowie do króla z tonu suchego przedstawienia, przechodzić stopniowo w uczuciowy błagania, a wczem go znów winien podtrzymywać aczkolwiek nie zabierający głosu poczet posłów, chociażby miał na chwilę wyjść który z nich z pięknie ustawionego szeregu, i objawić tém żywszy swój udział. Boć wszakże mowca ich jest tylko tłómaczem uczuć większości sejmu, — uczuć ich własnych, bo równy ich wszystkich obywatelski w tem interes; — dlatego też kiedy przychodzi do uklęknienia przed królem, powinni to wszyscy uczynić samowolnie, jakby jednymże ożywieni zapałem, wraz, i jak to mówili przodkowie nasi *„unanimiter,“* i nie czekać jak żaczkowie mili, aż ich do tego pan marszałek sejmu hetmańskiem wyciągnieniem ramienia zaprosi. A jeżliby który z jpp. posłów nie miał się sam poczuwać do swego obywatelskiego obowiązku, tedy godzi się, aby pan marszałek wcześnie za kulisami skruszył indyferentyzmem opętane serca.

Doniesienia literackie.

W Krakowie u Józefa Czecha wyszły Pamiętniki Albertrandego o panowaniu Henryka Walezyusza, z dołączeniem pamiętników do historyi Stefana Batorego, zebranych przez *Edwarda Raczyńskiego.*

Z drukarni zakładu narodowego Ossolińskich staraniem Augusta Bielowskiego wyszedł w tym roku: Pamiętnik *Mikołaja Jemiołowskiego,* obejmujący Dzieje Polski od roku 1648 do 1679 spółcześnie porządkiem lat opowiedziane.

W tejże drukarni drukuje się dzieło *p. Bielowskiego* od tak dawna oczekiwane — Dzieje Polski starożytnej.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.